Rok V. Kraków, październik 1930. Nr. 2.

BŁYSKI

PISEMKO
UCZENIC PRYW. SEM. NAUCZ. ŻEŃSKIEGO T. S. L
im. Fr. PREISENDANZA W KRAKOWIE.

1905—1930.

Dnia 18 października b. r. obchodzimy 25 lecie, otwarcie na terenie dawnego Królestwa pierwszej szkoły polskiej — poprzedzone zdecydowanym i powszechnym, wytrwałym protestem całej młodzieży przeciwko zaborcom, którzy chcieli nam wydrzeć to co nam zostało najświętszego — polską mowę w polskiej szkole. Ogólny „bunt“ ten, okupiony tysiącem ofiar i nadzwyczajnych wysiłków sprawił to, że 18 października 1905 rząd rosyjski zmuszony został otworzyć wreszcie pierwszą szkołę z wykładowym językiem polskim. Strejk młodzieży 25 lat temu był jakby przedwiośniem naszej niepodległości, początkiem nowej ery, w której się duch polski kształtował, w której tworzyły się potężne i mocne charaktery. Zrywał się duch polski do walki bezgłośnej lecz stanowczej już nie o polską szkołę i mowę, ale o wolną Ojczyznę.

Teraz, kiedy przewodzi nam srebrnopióry Orzeł nasz — przez pamięć o młodzieży, która 25 lat temu dla Niego tyle cierpień i ofiar podniosła — zwróćmy się myślą i sercem do tych, którzy dziś pomocy naszej potrzebują, którzy znów walczą o słowo polskie — na Śląsku

Opolskim i Cieszyńskim, na Bukowinie, na Litwie Kowieńskiej i na wychodźctwie w krajach emigracyjnych. Nieśmy im pomoc i pokrzepienie.

R. Jaklińska, Kraków.

Jesień.

Noc rozgwieżdżona, zimna noc jesienna zaczyna blednąć. Gasną, nikną gdzieś srebrne, migotliwe gwiazdy. Wstaje dzień a poprzedza go blady zamyślony świt. Niesie on w swej szacie mglistej słoneczne złote błyski. W zadumaniu gubi słońca uśmiechy, a one płyną po niebie i ziemię budzą. Chłód dreszczem przejmuje w ten blady, smutny i zimny ranek. Powoli budzi się życie: ptaszęta cichutko kwilą pod strzechą poranne swoje modlitwy; Z kominów wznoszą się błękitnawe smugi dymów, ludzie śnić się zaczynają - senni. Cicho... smutno... chłodno... Niebo spowite mglistą oponą, — czasem błyśnie jasnym błękitem niekiedy wymknie się ku ziemi blady promień słońca. I znowu niebo się okrywa szarym płaszczem chmur. Zrywa się wiatr, szepce coś drzewom i strząsa z nich żółte i purpurowe liście. Biedne umarłe liście! — padają tak cichutko, tak lekko a tyle jest smutku i żałoby w tem bezustannym ich opadaniu... Idzie południe. Słońce wychyla się z za mgieł, radośniej robi się na świecie — na twarzach ludzkich zakwitają uśmiechy. Lecz oto znowu nasuwają się z północy ciężkie płachty chmur i gaszą krótką chwilę radości. Cicho i tęsknie snują się popołudniowe godziny... A poprzez pola, łąki, lasy i ogrody idzie jesień i znaczy swój pochód kobiercem opadłych liści, a przed nią lecą klucze żórawi i trwożne gromady ptactwa lecą gdzieś w beskresną dal, stęsknione za słońcem. Już oto ostatnie jego promienie gasną na widnokręgu. Mrok swe macki wysuwa. a za nim nadchodzi długa noc. Wiatr szumi jękliwie jakby coś opowiadał strasznego. To się zrywa wyjąc pędzi przed siebie, jak oszalały, to znów cichnie i do ziemi się tuli. Z ołowianych chmur spadają ciężkie krople deszczu...

L. Lachowska II kurs.

Szumi deszcz.

Tak mi się coś dziwnie marzy,
Coś się jakby śni:
A to wiatr jesienny gwarzy,
Deszczu szumią łzy.
Zdaje mi się, że do ucha
Szept napływa słów.
A to dzwoni pustka głucha
I deszcz szumi znów.
W mrok wieczorny patrzy dusza,
Słucha dawnych dum:
A to jeno wiatr porusza
W drzewach głuchy szum.
Darmo ucho w pustce goni
Echa zmilkłych brzmień:
Jeno deszcz o szyby dzwoni,
Na świat pada cień.

S. W., Glewiec.

Wspomnienie.

Pamiętam ten cichy wieczór. Szary mrok zapełniał wszystkie kąty mieszkania. Lęk chwycił i spętał serca wszystkich zebranych. Ciche, bolesne łkanie biegło z głębi pokoju. a oni siedzieli na pozór spokojni—lecz w głębi dusz coś się rwało, że już.. już za chwilę opuszczą kochane mury i kochające ich serca. I że... może już do nich nie wrócą?.. Czterech ich było. Trzech kuzynów i mój ojciec. Ostatni był to ich wieczór z nami. Jutro na front pójdą. Żegnały ich łzy kobiece gorące, żegnała zazdrość najmłodszego brata i jego głuchy bunt Ale nie zatrzymywał ich nikt od spełnienia świętego obowiązku. Szli bronić Tej, co matką wszystkich nas była! Oni to rozu-

mieli, chociaż łkał w ich sercach żal za cichem życiem rodzinnem. Jednemu z nich migotały przed oczami duszy niebieskie oczy dziewczyny przyprószone łzami... Ojciec myślał o matce mojej chorej matki o miesięcznem zaledwie dziecięciu. Musiał wszystkich opuścić i cierpiał okropnie! Ostatni wieczór... Nikt słowa nie mógł wymówić a cisza ta miała coś strasznego w sobie, dusiła, jak zmora. Ja chociaż byłam wówczas malutka i, nie rozumiałam wszystkiego — odczułam, że coś dzieje się ważnego, przerażającego i tuliłam się drżąca do kuzynki. Ciszę tę męczącą przerwał mój ojciec.

Co tam będziemy dumać! Patrzcie, baby płaczą. Zaśpiewajmy coś wesołego, a ty, Gienek, zagraj!—

Kuzyn wziął mandolinę, a oni śpiewali:

Wojenko, wojenko,
Cóżeś ty za pani,
Że za tobą idą
Chłopcy malowani?

Ciotka załkała głośno. Wyszła nie chcąc łzami tłumić ich zapału Spełniała swój obowiązek: czterech synów miała i trzech składała Matce Ojczyźnie w ofierze...

I minął ten wieczór. Nazajutrz już ich nie było... Potem i najmłodsze orlę gniazdo opuściło.. Popłynęły w domu naszym dni tęsknoty i trwogi. Nie dostawaliśmy żadnych wiadomości z placu boju. Nadeszły straszne dni oblężenia Włocławka i te minęły... Cud nad Wisłą! -- błysnęło wolności słońce.. Jeszcze tu i tam grzmiały armaty, płynęły łzy i krew.. Wreszcie skończyły się krwawe zapasy i znowu przyszedł taki cichy, wiosenny wieczór. Znowu zebraliśmy się o zmroku ale... nie wszyscy. Jednego z chłopaków brakło... Poległ na kresach i teraz śnił o Tej, której w ofierze złożył młode życie... Mogiłę jego porosła darń zielone i znaczył ją krzyż litosną ręką postawiony. Po nim została pamięć braci serdeczna, ciche łzy matczyne i ból w sercu dziewczęciem...

L. Lachowska II kurs.



S. Bańdówna, Kraków.

Rok 1920.

Nadszedł pamiętny rok najazdu bolszewickiego. Cała Polska cierpiała, ale najbardziej cierpieli ci, którzy byli świadkami wypadków, jakie się rozegrywały na wschodnich rubieżach naszego państwa. Już od wiosny pracę w polach przerwano, spodziewając się takiego samego zniszczenia, jak w czasie Wojny Światowej. Gdy wróg był daleko, tliła jeszcze iskierka nadziei, że nasze wojska nie pozwolą mu przejść Bugu, wedrzeć się aż na Podlasie. Nadzieję tę potwierdzały szeregi ochotników, z zapałem zdążające na front. Widzieliśmy wśród nich szesnastoletnich chłopaków, zastępy młodzieży szkolnej! Tymczasem nadeszła straszna wieść, że bolszewicy zajmują Brześć nad Bugiem. Pewnego ranka usłyszeliśmy ogłuszający huk, poczem ogromny czarny słup dymu strzelił ku niebu — to Polacy wysadzili

w powietrze prochownię, aby jej nie oddać w ręce wroga. We wsiach zapanował lęk i osłupienie zwiększane jeszcze opowiadaniami ludzi, którzy przeżyli w Rosji czasy rewolucji — ten okres gwałtów, okrucieństw i rzezi.

Przez Wyczółki, o 30 km. oddalone od Brześcia coraz więcej przechodziło pułków polskich na zachód. Nieprzerwanym sznurem ciągnęła piechota, jazda a nakoniec wozy z amunicją. Do końca życia będę pamiętać skrzyp tysiącia kół, przyciszony gwar i sylwetki głodnych żołnierzy, wyglądających jak cienie w księżycowej poświacie.

Jeden z oddziałów zatrzymał się przed naszym gankiem. Żołnierze posiliwszy się chlebem i mlekiem, tłómaczyli, że cofają się chwilowo, nie mając na dotychczas zajmowanych pozycjach dogodnego pola do walki. Do późna w noc ludność całej wsi modliła się pod krzyżem, śpiewając litanje i pieśni do Matki Boskiej—w tłumie widniały liczne postacie klęczących żołnierzy. — Zwyczajna praca codzienna zupełnie ustała. Przelatujące gęsto szrapnele nie pozwalały wychilić się z domów. Starszyzna wojskowa u nas zamieszkała, to też słyszałam każde słowo z polowego telefonu, przeprowadzonego do Białej Podlaskiej. Podczas kilkodniowego pobytu wojsk naszych w Wyszczółkach miałam sposobność widzieć oddział jeńców—bolszewików. Tak byli wynędzniali, tak źle ubrani, że widok ich ogólną wzbudzał litość, natomiast grozą przejmował wyraz ich twarzy i dzikie błyski w oczach.—Oddziały nasze raz wyruszały w stronę pozycyj nieprzyjacielskich, to znów kilkakrotnie się cofały. Co kilka minut zjawiali się gońce wypatrywani zapłakanemi oczami kobiet, które już się na śmierć gotowały. Kiedy przybył ostatni goniec, nakazując wojsku odwrót, dowodzący oddziałem oficer jeszcze nie wierząc rozkazowi, przez dwie godziny starał się o telefoniczne połączenie z Białą Podlaską. Daremnie! odpowiedzi nie było. Wysłał wreszcie dwóch żołnierzy, po decydującą odpowiedź a sam z wojskiem wyszedł z naszej wsi wieczorem. Nikt tej nocy oka nie zmrużył, obawiając się napadu i rzezi. Rankiem wytoczyła się na niebo czerwona kula słoneczna, a równocześnie z za lasu wysunęły się szare postacie bolszewików. Mieli na sobie koce, których końce ciągnęły się po ziemi, jak treny. Siedziałam w oknie, jak skamieniała, szczękałam zębami i już nie płakałam—po całym tygodniu rozpaczy i łez, błagałam tylko mamusię, aby się odemnie nie oddalała, jak już przyjdą. Ciocia klęczała przed obrazem Matki Boskiej Nieustającej Pomocy w niemej modlitwie o opiekę i zlitowanie—mówić nic nie mogła.

Bolszewicy stali o kilometr od wsi w otwartem polu, gdy tymczasem wrócili dwaj nasi żołnierze, wysłani po rozkazy do Białej

Podlaskiej. Położenie ich było okropne—to też biedacy natychmiast rzucili się do ucieczki, dowiedziawszy się, dokąd odeszli ich towarzysze. Na szczęście w pobliżu był gaj i lasek—zniknęli w gęstwinie. Nie upłynęła minuta, gdy na gościńcu bolszewik się ukazał, pytając natarczywie, gdzie ukryliśmy Polaków, których widział przez lornetkę? Popędził w stronę lasu ale tamci byli już ocaleni!

Gdy bolszewickie przednie straże minęły wioskę — odetchnęliśmy! Nie na długo jednak. Gromady czerni bez żadnej karności waliły ławą przez gościniec, rozbiegały się po domach i wołały „Matuszka, chleba"! W godzinie zabrakło go we wsi całej — tedy posypały się przekleństwa, brzęk tłuczonych karabinami szyb. Kobiety płakały i zawodziły w niebogłosy. Gdy dowódca chciał zabronić gwałtów, obsypano go obelgami.

Rządy bolszewickie rozpoczęły się od wprowadzenia pieniądza sowieckiego, którym „płacono" za krowy, gęsi i nierogaciznę. Dwa razy dziennie każda gospodyni musiała piec chleb. — W kilka dni zabrakło we wsi zapasów i nastał głód, a czerni zgłodniałej napływało coraz więcej.

W wiosce zostały tylko kobiety i dzieci, gospodarzy bowiem bolszewicy zabrali do swojej służby. Nie widać było ani jednego wozu, ani jednego konia.—Dopiero w trzy miesiące później wrócili gospodarze do swoich siedzib ale bez koni i wozów — zaledwie z życiem uszli, a wielu zginęło: użyto ich do walki przeciw własnym braciom!

„Wojska" bolszewickie skończyły wreszcie swój pochód przez Wyczółki—zostaliśmy odcięci od Polski. Nie wiedzieliśmy, jak daleko wróg posunął się wgłąb kraju, przeżywaliśmy ciężki okres ucisku i niepokoju, bolszewicy zaś rozmyślnie szerzyli pogłoski, że Warszawa już jest zdobyta, że niebawem padnie Kraków.

Nadeszło święto Matki Boskiej—15 sierpnia. Nabożeństwa w kościele nie było, a ci, którzy klęcząc modlili się na cmentarzu, stali się przedmiotem drwin dla bolszewików. Nasz ksiądz, staruszek został w pierwszych dniach inwazji aresztowany, rozchorował się nerwowo i po roku umarł.

W kilka tygodni po przybyciu bolszewików zauważyliśmy niewielki ich oddział, przemykający się w stronę Brześcia. Nie byli to już zuchwali wojacy, idący na podbój całej Polski — nie pytali jak

daleko Warszawa, nie żądali nawet chleba — zniknęli jak cienie w kierunku najbliższego miasteczka. Zaczynał się odwrót wroga! Można było się domyśleć, że zbito go na winne jabłko: Z tysięcy — wracali dziesiątki. We wsi zapanowała nieopisana radość. Szeptem z ust do ust podawano sobie wesołą nowinę, bo obawiano się jawną i głośną manifestacją rozdrażnić pokonanego potwora. Spodziewaliśmy się pochodu przez wieś dalszych oddziałów nieprzyjacielskich, gdy pewnego ranka ukazało się oczom naszym kompanja polska, z polską pieśnią na ustach! Radość i entuzjazm, z jakim została przyjęta—opisać się nie da! Dzielnych naszych żołnierzy, obrońców kochanych, witaliśmy kwiatami i łzami radości.

Powoli Wyczółki wróciły do pracy i naprawy gospodarstw — a w pół roku nie było już ani śladu po wojennem zniszczeniu.

Makarewiczówna III. kurs.

Ze złotych myśli.

— Kto chce kiedyś pokonać wroga, musi się dziś uczyć sztuki być wolnym w duchu.

— Tylko niezłomna, niestrudzona, gwałtowna praca we wszystkich dziedzinach i moc jej skutków da nam to, co nam obca przemoc wzięła.

Żeromski.

Odpowiedź Treviranusowi.

Wiatr wył — parł wściekle naprzód Przewalały się bałwany, hucząc i bulgocąc gniewnie: uderzały, waląc coraz bliżej i

bliżej brzegu! Zionęły otchłanną głębią niby kłębiaste rozsierdzone potwory! Szalało morze. Dookoła było dziko, niesamowicie, straszno... Mewy poukrywały się w rozpadliny, skał; wszystko, co żywe, poszukało gdzieś schronienia — tylko zdala od osad ludzkich, na pustym brzegu stał człowiek — czy duch.. Słonogorzka fala prysnęła mu dżdżem do oczu, nie zwrócił na to żadnej uwagi—zapatrzony gdzieś wgłąb morza, burzy czy wieków... Włosy, podane na wiatr—tworzyły na głowie jego grzywiaste czarne fale—kołysały się i szarpały w uwięzi. Jak posąg rzeźbiony w rozterce, tkwił w zadumie, z zaciśniętemi pięściami i zmarszczoną brwią. Siła życia i mądrości wyrywała się zeń bezgłosnym krzykiem, zamkniętym w kurczu przeciągłym... Huczało w morzu i wnętrzu człowieka! Wzrokiem silniejszym nad światło przebijał ciemnię czasu—widział się panem wybrzeży i wodzem w walkach o morze. Swiadkiem był, jak poczerniali od wiatru morskiego. Kaszubi bronili słowiańskiego Bałtyku przed rosłym germanem.—Boje były nierówne.—Pomagał jednak zawsze silniejszym. Dziś jeszcze cieszył się pochodem Krzywoustego, — naigrawał się z niemocy Łokietka po zaborze Gdańska. W uszach grały mu pieśni rycerzy Jagiellończyka.—Uśmiechnął się zagadkowo, jak ongiś, gdy legjony Dąbrowskiego mazurkiem witały stare ulice Gdańska. Przypomniał plusk morza, przyjmującego pierścień z rąk Polski... Burza niosła całą historję wysiłków walk o morze, które pod wpływem jego obecności dalej szalało — Nie lubił widocznie ciszy i posiadał moc burzenia. —

Zjawiał się tam, on — Smętek, gdzie nienawiść wrzała. Po dziesięciu spokojnych latach przywołała go wrzawa zawistnego sąsiada, gotującego się zdradziecko, jak od wieków, na ciche osiedla Kaszubów. Zrodziło go morze w tej stanowczej chwili.

Zdumiał się, ujrzawszy krajobraz Pomorza zmieniony wytężoną pracą upartego ludu. Od wiosek i pięknych domów, porozrzucanych pośród żółtego żarnowca brzmiały radosne śmiechy i gwar czystej polskiej mowy. Tysiące kolonij zdrowotnych polskiej młodzieży dawały siły słońce, woda i wiatr bronzowity płowe główki dzieci polskich. Wżerało się im w pamięć morze, stwarzało armję swych upartych wielbicieli, gotowych walczyć o każde ziarnko piasku, o każdy krzyk mewy.

Ujrzał ziemię, która ze śmiesznie wąskiego korytarza rozrastała się w mile kwadratowe, a na niej lud wytrwale walczący o wolność, o własną ziemię i o morze własne...

I zdał sobie sprawę z rozstrzygającej chwili. „Tym razem nie pokona ich Niemiec, — wytrwają!" powiedział wzburzonemu morzu. Złagodniały bałwany,—wiatr cofnął się za Karwię—od Gdyni przeciągnął się świst syreny wyruszającego w świat polskiego okrętu. „Wytrwamy!" niosło echo w dal. — Od zachodu charkotał samolot, na którym Treviranus wybrał się na objazd kresów wschodnich Germanji. Na skrzydle mewy wzbił się ku niemu Smętek—usiadł cicho przy zdumionym pilocie — uprzejmie ofiarował mu się za przewodnika Z uśmiechem iście djabelskim pokazywał dorobek Polaków i grał na nerwach zazdrości niemieckiej. Skierował pomruk płatowców polskich. w ucho Niemcowi, wskazywał mu na armję młodego pokolenia i na schylone plecy pracującego ludu—nie omieszkał przypomnieć o „Dniu Ojczyzny", łączącym wszystkich w celu publicznego dobra—Poczem obaj z niemiecką ścisłością zesumowali siły zaczepionych, które rosły z roku na rok...

Delikatnie, jak dziecku, wyjął Smętek ster z rąk prowokatora. Aeroplan powracał ponad Berlin...

Zachłysnęły się od krzyku mewy, pluskały o brzegi fale, od ziemi brzmiała ludu polskiego przysięga: Wytrwamy!

Pandora, Kraków.

Dzika drużyna.

(Ze wspomnień wakacyjnych.)

Z ogromną radością jechałam na zlot Starszyzny Harcerskiej na Pomorze—cieszyłam się, że zobaczę nieznaną mi jeszcze dzielnicę kraju naszego i że spędzę zdala od i gwaru miejskiego cudowne dwa tygodnie.

Na obóz przyjechało nas z całej Polski około tysiąca i rozmieściłyśmy się partjami w prześlicznej okolicy na wzgórkach lesistych, nad jeziorem. Kilkukilometrowy teren obozu ożywiło mnóstwo namiotów, ustawionych grupami i tworzących niby wioski wśród drzew. Zaludniła się cała okolica i ożywiła chórem młodych, radosnych głosów.



1) klupeisen. 2) kleszcze drewniane. 3) szydło. 4) kleszcze z drucikiem. 5) nożyce.

Zamiłowania moje skierowały mnie do pracy w Drużynie obozowniczej. Dzięki temu dostałam się na pagórek odcięty od świata moczarami na zarośniętem jeziorze. Do samego obozu mogłyśmy przejść dopiero po zbudowaniu mostu. Wśród lasu na polanie rozbiłyśmy obozowisko. Byłyśmy drużyną dziką, plemieniem Indjan Kiełpinasek, (nazwa od jeziora Kiełpiny). Plemię to dzieliło się na szczepy, a jednego z nich, szczepu Gwajkurów, ja byłam wodzem.

Na czem polegała nasza dzikość?

Wiele się na nią składało czynników. Przedewszystkiem nie używałyśmy namiotów, a szałasy, w których spałyśmy, sporządziłyśmy z drzew, mchu, słomy lub desek. Wódz plemienia miał domek, wiszący na drzewie, do którego wciągało się na noc drabinę sznurową. Mieszkanie to było więc zupełnie bezpieczne, a dostępne tylko dla mile widzianych gości.

Mój szczep zajmował szałas ze słomy. Nikt chyba nie potrafi odczuć rozkoszy takiego mieszkania, kto nie ma w sobie chociaż odrobiny duszy leśnego człowieka.

Szałas nasz był miły, przewiewny, mało przemakalny, a zbudowałyśmy go bez użycia gwoździ, licząc się z tem, że dzicy ludzie ich nie posiadają. Urządzenie składało się z pościeliska (niestety! nie z mchów i liści lecz ze zwykłych sienników), ze stołu—pnia i z oryginalnych stołków, sporządzonych z trzech kijów wyścielonych mchem—pomysł podpatrzony u pustelnika. Wieszadło z gałęzi sosnowej i półki wyplatane z trzciny uzupełniały tego pierwotnego umeblowania.

Dzikość naszą najbardziej okazywałyśmy przy myciu. Rano całe plemię wchodziło w pantoflach do jeziora, żądając wielkim głosem całej godziny czasu na ablucje. Niekiedy, z racji zimnej wody w źródełku — odzywały się głosy, powątpiewające, czy dzicy ludzie myją zęby? W południe szczep Gwajkurów szorował sobie ręce piaskiem i wycierał je o trawę, bowiem ludzie dzicy mydeł i ręczników nie znają. Z kąpieli nikt nas wyciągnąć nie potrafił, argumentem przeciw rozkazom było to, że dzikie jesteśmy, więc ogromnie wodę lubimy. A jedzenie? Jadłyśmy dzikie potrawy z dzikim apetytem! Na stole naszym zjawiały się poznańskie polewki, sałatki pomorskie, zupy wileńskie, potrawy wymyślone przez Gwajkurów, wreszcie zgoła orjentalne dania, bowiem był wśród nas pół-dziki człowiek, który w Turcji się wychowywał.

Najdzikszą była nasza „fajka pokoju", którą każdy gość musiał wypalić przy naszym ognisku i do tej fajki ciągnęły zastępy gości proszonych i nieproszonych, jako że czekoladową była! (Czekolada Wedla z orzechami).

Trzeba przyznać, że w wysokiej mierze dzikość naszą wykazywałyśmy strojem, zwłaszcza w porze deszczowej, pomysły zaś i dzikie imprezy plemienia Kiełpinasek rozniosły sławę ich po całej Polsce.

Halszka IV. kurs.

Sen.

(Kartka z dzienniczka)

Przez szeroką bezludną ulicę jakiegoś miasta mknie rozszalały tramwaj.

Od zewnątrz do przodu wozu przymocowane jest coś w rodzaju ogromnego kosza, luźno splecionego z pęków wikliny powiązanych szeroką, grubą wiklinową czy też płócienną taśmą.

Wśród tych wiszących wysokich wiklin stoję niby ja, niby któraś z moich znajomych, to znów niby jakaś kobieta—abstrakcja, która wszelkie wrażenia przyjmuje mojemi nerwami.

Stoję, opierając stopy na kilku zaledwie gałązeczkach wikliny. Złowrogi wicher miota mną w kapryśnej igraszce. Chwieją się na wszystkie strony. Zawisam na owej taśmie. Taśma owija mnie, wrzyna się w ciało...

Przechylam się naprzód.

Tramwaj mknie.

Pęd powietrza bije mnie po twarzy, rozwiewa włosy. Oczy mam szeroko rozwarte, płonące... Usta drżą...

Taśma krępuje mnie coraz bardziej—ale nie myślę o tem. Nie myślę wcale. Jakaś energja, jakaś siła uwięziona w bezczynie promieniuje ze mnie. Zawłada mną moc niemocy. I jest mi dobrze, tak dobrze... nic więcej, tylko dobrze.

Tramwaj pędzi. Kosz kołysze się wraz zemną. Wikliny rozluźniają się zupełnie. Pęk za pękiem zaczyna spadać na ziemię. Tracę podstawę pod nogami. Już tylko kilka gałązek zostało—i te trzeszczą złowrogo. Taśma wypręża się, jak przeciągnięta struna. Jeszcze moment—a pryśnie...

Śmieją się żelazne koła wozu, szczerzą błyszczące zęby, które za chwilę pogruchoczą na miazgę moje kości!

A ja? Wiem, co mnie czeka, jednakże nie uciekam do wnętrza wozu. Jeszcze silniej opieram się o taśmę.

Rozkosz moja rośnie—rośnie bezgranicznie, wszystko wobec niej zdaje się niczem—nawet groza śmierci maleje...

Koła turkoczą—tur—ko–czą. — Szyny stalowe lśnią, połyskują, błyszczą... Wiatr gwiżdże.—Ostatnie gałązki łamią się i trzeszczą. Taśma—rwie się! Śmierć idzie!...

A mnie tak miło, tak dobrze, tak rozkosznie...

Zbudziłam się.

R. D. Kraków.

Koszykarstwo w okolicach Krakowa.

(Wiadomości zebrane od gospodarzy wiejskich).

W czasie wakacyj postarałam się zebrać nieco wiadomości o koszykarstwie w Skotnikach, Rącznie, Kopance i Jeziorzanach.

We wsiach tych cała ludność, mężczyźni i kobiety, zajmują się koszykarstwem w zimie stale, w lecie zaś dorywczo. Jedynie w Skotnikach przemysł ten uprawiają niektóre tylko jednostki. Ponieważ we wsiach powyżej wymienionych wikliny na miejscu niema, ludność musi nabywać ją w miejscowościach bliżej nad Wisłą położonych, w Przegorzałach, u zakonnic na Zwierzyńcu Przygotowanie wikliny do wyrobów koszykarskich różnie bywa dokonywane. W Skotnikach wiklinę ściętą na wiosnę lub w jesieni, łuszczy się kleszczami drewnianemi, wiąże się w wiązki i wynosi na strych. W Rącznie w Jeziorzanach i kopance jest zwyczaj moczenia ściętej na wiosnę wikliny w stawach aż do rozwinięcia; potem dopiero następuje łuszczenie ta-

kimiż kleszczami drewnianemi lub drewnianemi z drucikiem (Rącza), suszenie sortowanie i wiązanie w wiązki.

Bezpośrednio przed użyciem ludność Rączny i Skotnik moczy wiklinę krótko, mieszkańcy innych wsi—trzymają ją w wodzie przez trzy godziny. W Skotnikach ponadto znają sposób spłaszczania prętów, przepuszczając je przez hebel. Tak przygotowane służą na rączki do koszyków. Do przeplatania boków i dna w koszykach służy wiklina dzielona foremkę na 3-4 części, a do wykończenia kołysek-pleciony jawor. Wiklina jest prostowana przez przyrząd, nazywamy przez ludność Skotnik — „klupeizen". Inne narzędzia przez nią używane w przemyśle koszykarskim są: szydło, nożyce, młotek i gwoździe.

W Rącznie i innych wioskach powyższych narzędzi nie używają z wyjątkiem szydła i nożyc, gdyż wyroby tamtejsze są całkowicie z wikliny wykonane i dzielą się na 2 grupy: z wikliny łupanej i niełupanej.

W Skotnicach często dla ozdoby wyrobów koszykarskich ludność używa barwy czerwonej żółtej i liljowej, podczas gdy w innych wsiach tego zwyczaju niema.

Do przedmiotów, sporządzanych z wikliny należą: foteliki, kosze wszelkiego rodzaju, parawany, kołyski, półki, podstawki pod kwiaty i t. p. znane nam z targów w Krakowie, Wadowicach i Wieliczce.

Zabierzowska III kurs.

Kronika.

27 września uczenice I i II kursu zwiedziły Wystawę ogrodniczą urządzoną staraniem Krakowskiego Związku Ziemianek w parku Dr. Jordana. Sprawozdanie z niej zamieścimy w następnym numerze.

3 października uczenice całego zakładu zebrały się około godź. 11-tej przed południem na lotnisku rakowickim, gdzie witały wraz z tłumnie zebraną publicznością awionietki w przelocie ze dwoma dalej na zachód.

10 października odbyła się promocja nauczycielki naszego zakładu p. Józefy Nyskówny. Wszystkie uczenice pod opieką grona nauczycielskiego zebrały się w auli Uniwersytetu Jagiellońskiego aby uczestniczyć w podniosłej i wzruszającą uroczystości.

Z żałobnej karty.

Kurs V-ty dotknięty został bolesną stratą. Zmarła Janina Jurkówna. Słaby jej organizm przez szereg długich miesięcy walczył z nieubłaganą chorobą, która wreszcie kres położyła młodemu życiu.

Wszystkie uczennice wzięły udział w pogrzebie, który się odbył 7 października o 4 popołudniu. Chór szkolny po raz ostatni zaśpiewał miłej i dobrej koleżance...

Szarada.

Pierwsze i trzecie—rolnicze narzędzie,
Drugie, pół trzeciego znajdziesz na wsi wszędzie,
Pierwsze pół trzeciego—to kręgowiec wiecie?
W całości wygodnie przejechać możecie.

J, Furtakówna IV. kurs.

Łamigłówka.

1									
2									
3									
4									
5									
6									

1. Miasto w Azji. 2. Imię żeńskie. 3. Zasłona. 4. Dzień tygodnia. 5. Cnota. 6. Ptaki.

Zakreślone litery dadzą nazwisko króla polskiego.

Furtakówna III. kurs.

Nakładem Uczennic Prywatnego Seminarjum Naucz. Żeńsk. T. S. L. im. Fr. Preisendanza
Wyd. i odp. redaktor Jadwiga Brodowiczówna.
Redakcja i Administr: Kraków, Groble 7.

Drukarnia Fadena w Myślenicach. — Telefon Nr. 20.